Ner 12

DZIENNIK MÓD PARYSKICH.

Lwów, 3 czerwca 1843. Rok czwarty.

Wychodzi co druga sobota regularnie; do każdego numeru dołączona jest rycina mód paryskich z dokładnym opisem. Kosztuje w miejscu półrocznie 5 złr. 15 kr.; całorocznie 10 złr. m. k.; na prowincii dolicza się przesyłka pocztowa do cen powyższych półrocznie 48 kr. m. k. Prenumerować można we wszystkich urzędach pocztowych, tudzież w redakcii pod nrem 301., we Lwowie.

MODY.

Paryż, dnia 20 maja 1843.

Stroje damskie. Mantyle i rańtuchy z rękawami równie jak i bez rękawów zajmują, jakeśmy już o tem nadmienili, pierwsze miejsce, służą zarówno do zabaw wieczornych, jak i wycieczek rannych, które i największe elegantki pieszo odbywają. Rańtuchy kaszmirowe przedewszystkiem nie wyjdą nigdy z mody; do stroju nie tyle wystawnego służą skromne bareżowe rańtuchy z kutasem i tibetowemi frężelkami. Drugie miejsce zajmują kryspiny, które jak nam się zdaje są już na schyłku swej wziętości. Stroją się dziś w nie osoby, które mają ten smutny przywilej kompromitowania najwytworniejszej sukni, i to tylko przewleka na czas jakiś śmierć kryspin. Niezawodnie i z paletotami nastąpi tożsamo, chociaż je teraz jeszcze starają się utrzymać w wziętości niektóre znakomite artystki. Jakkolwiek poszukiwane są mantyle jedwabne i muszlinowe rańtuchy, nadewszystko jednakże przenoszone są rańtuchy z rękawami z materij jedwabnych, w części lub też całko-wicie podszyte, ozdobione *à la vieille*, *à la Fontages*, lub *à l'Antoinette*. Jeżeli, mnóstwo różnych materij korzystnie zastosować można do strojów tej pory roku, materie jednak białe będą najbardziej poszukiwane, jako najskromniejsze i najszlachetniejsze, bo oprócz perkalu indijskiego są tkaniny lniane, są surowe batysty, którym żadna w świecie materia niemoże wyrównać w białości. Jestto strój bogaty, czysty jak piękny dzień wiosenny, świetny jak promień jutrzenki. Suknie takie zdobią zwykle wielkiemi wolantami, staniki obszywają bertą otwartą i bardzo długą, na niektórych spada cztery rzędy festonów haftowanych w rozmaite wzory. Podobały się one bardzo najpierwszym elegantkom, porobiono dużo obstalunków, i wkrótce ujrzymy suknię batystową w najświetniejszych zgromadzeniach. Niektóre z tych sukień zdobią korunkami.

Kapelusze widać najczęściej słomkowe, z słomki bardzo delikatnej, zdobią je kwiatami lub gałązką. Jako wzór gustownego ubrania głowy, wymieniamy tu kapotkę krepową gładką, ozdobioną kitką z kłosów ryżowych, mieszanych z polnemi kwiatami. Miało to wdzięki nadzwyczajny. Noszą wreszcie kapotki z materii jedwabnej.

Rycina przedstawia: suknię ślubną z tarlatany jedwabnej; falbana na dole korunkowa, stanik gładki, z bertą korunkową, różami ubrany, woal na głowie z tej samej materii. Druga suknia z muszlinu jedwabnego po bokach, ubranie ze wstążek, stanik w półwysoki, pasek zmarszczany, rękawy półszerokie, u pięści wstążką związane; kapelusz ryżowy. Trzecia suknia z fularu szkockiego, z dwomą falbanami, stanik półwysoki gładki. Rańtuch z tartalany, biały, haftowany, koronkami obszyty, kolorowym gredenablem podbity; kapelusz jedwabny. Czwarta figura przedstawia rańtuch w najnowszym guście.

Stroje męskie. Jako nowość wymienim to, że kołnierze szerokie odzyskały swą wziętość. Klapy co tylko wystają nad kończyny kołnierza. Niektórzy krawcy w Paryżu trzymają się angielskiego kroju, któren polega na znacznym zaokrągleniu pleców, boczków i ramionczek.

Kamizelki noszą najwięcej *à la Napoleon*.

Spodnie najmodniejsze są z wycięciem u dołu, noszą także i takie które u dołu mocno nogę przykrywają, bo też moda ma najczęściej swoje grymasy.

Twiny które się teraz zagęściły, mają z przodu formę tużurka o jednym rzędzie guzików; klapy zaś i kołnierz takie jak u surduta na obie strony zapinanego.

Rycina przedstawia: twinę o dwoch rzędach guzików, w tyle bez fałdów, jakeśmy już w poprzednich numerach pisali; kamizelkę z bekeszowym kołnierzem, równie na dwa rzędy guzików.

SZKICE PODRÓŻNE.

LINC, GMUNDEN, ISZL, SALCBURG, BERCHTESGADEN, MNICHÓW.

Ciąg dalszy.

Lecz chociaż go nikomu nieudzieliłem, niełatwo wszakże odstąpiłbym od niego. Gdzież bowiem, jeżeli nie na czole nosi człowiek piętno swojej wyższości? U starożytnych Pallas Athene, wzniosła reprezentantka wszelkiej umysłowości, wytryska cała już zbrojna z czoła Zeusa. Ależbo starożytni myślili; ich pomysły były pełne głębokości i prawdy, tak w prozie i wszelkiem umnictwie, jak w szczególności w poezii; i słusznie mówi Budik:

Auch im Liede soll der Gedanke walten;
Das wussten sie, drum dachten sie, die Alten.

Lecz czemże są po większej części nasze nowsze poezie? Cóż powiem o tym jałowym brzęku i dźwięku, o tej najeżonej, napuszonej sentymentalności? Sami nawet mistrze, przed którymi ze czcią i uwielbieniem nasze czoło kłonimy, i którzy w głębie wszelkiej istotności badawczo się zapuszczali, podołaliż wiele z tamtąd wydobyć, coby już przed duchem starożytnych na jaśni nie stało?

Na wzmiankę o pochodzeniu Minerwy, zaraz się myśl popierająca nasuwa, mianowicie owe złote słowa Göthego: »*Sei er kein schellenlauter Thor; es trägt Verstand und rechter Sinn, mit wenig Kunst sich selber vor.*« W tych słowach uzna każdy wyrok wzniosłego jeniuszu. I są one w istocie wyrokiem; są niezbitem, odwiecznem prawem, które każdy, do utworów duchowych powołanie w sobie czujący, nad swoim stolikiem, nad wchodem do swojej pracowni, wielkiemi literami wypisać powinien; a jednakże nie są czem innem, tylko orzeczeniem pomysłu, który mitowi o Minerwie za podstawę służy, tylko środkiem pomocniczym dla tych, którzy nie zawsze są w stanie w znaczenie symboliki somodzielnie wniknąć.

Goethe wyrzekł owe słowa w swoim Fauście, piastunie, że się tak wyrażę, romantyczności. Kto ma sposobność, czas i ochotę, niechaj nazbiera po niwach romantyczności i klasyczności podobnych paralel, których jest bez liku, a małoważność sporu względem tych dwoch rodzajów umnictwa, który i w ojczystej naszej literaturze krótko wprawdzie, ale zacięcie się toczył, sama przez się w oczy im wpadnie. Formę może każdy do przemiennego i przemijającego smaku swojego narodu stosować; nam chodzi o jądro, ale nie o łupinę.

O romantyczności, jaka nam się w Nibelungach przedstawia, niema tu mowy *). Nieznajdziesz tam ani jednego wielkiego pomysłu, nawet i czucie tam milczy; płaskość i nienaturalność, a raczej potworność, rozgościły się tam szeroko, a o te niechaj ci się spierają, którym zależy na rozprawach *de lana caprina*, czyli o niebieskich migdałach. Wszakże wielki nieznajomy twórca tych wytworności, jaśnieje w Walhalli; niechże mu nikt nie zdziera promiennego wieńca. Ale i jego romantyki niemam tu na myśli, o której powiedziano:

C'est un je ne sais quoi, dont on est transporté;
Et moins on le comprend, plus on est enchanté.

Viennet.

Lecz wróćmy do diademu na czole pięknej królowej Ludwiki. Nie jestto zapewne zadaniem umnictwa, to, co jest pięknem, szlachetnem, wzniosłem, uposażać w przyboczne rzeczy, przydatkami oszpecać; inaczej niesłusznie nosiłoby nazwę od umu, tego rdzenia i pierwotku duchowości naszej.

Jeżeli tedy czoło człowiecze jest siedliskiem wzniosłości, niechże go człowiek nosi wolno, niech umnictwo nieusuwa go oku w żadnej jego części, zwłaszcza jeżeli na nim tyle spoczywa uroku, ile go królowej Ludwice nadała natura, ta najwyższa, najpotężniejsza mistrzyni. A jeżeli się umnikowi podoba przekazać do poźnej potomności znamię, po którem ma poznawać królowę, niech wreszcie umieści małą koronę u szczytu głowy; ale czoło niech zostawi wolnem, niech je nie ostania diademem, nieodpowiadającym nawet celowi, gdy diademy noszą i kobiety, które nie są królowe. Prawdziwa piękność jawi się bez wszelkiej przybranej okrasy. Owa Wenus, z którą łączy się część sławy Medyceuszów, i której uroczego wdzięku i najwyższej niewieściej piękności nikt niezaprzeczył, stoi bez wszelkiej ozdoby; brak nawet zwykłej przepaski, a tego braku nikt niedostrzega. I mimowolnie znowu nasuwają się naszej pamięci starożytni; oni wązką tylko złotą obrączką obwodzili swoich królów czoło, które przez to nic nietraciło. Wszędzie u nich panowała trafność uczucia i smaku.

Również nie służy to ku zwiększeniu wrażenia, gdy nawet w obrazach skądinnąd wytwornych, za-

---

*) Nienależy zapominać, że nasz szanowny ziomek mówi do Niemca; stąd wszystkie prawie przytoczenia z literatury niemieckiej.

miast coby wawrzyn lekko tylko dotykał skroni, i czoło wydatniejszem czynił, przedstawiają się widzowi głowy bohatyrów lub poetów obwiedzione sporym wawrzynowym wieńcem. Nie jestto wprawdzie od rzeczy gdy winem i sprosnością skalane czoło rozmarzonego Silena gęsty bluszcz ocienia; ale szlachetniejszego Dioniziusza zdobi wązka opaska, a bluszcz i liść winny głowę tylko uwieńcza.

Te ulotne uwagi naprowadzają na dalsze. Świętość i wyższość nadziemską znamionuje malarstwo promienistym wieńcem, urobionym blaskiem, a przynajmniej wązką obwódką około głowy się wznoszącą, lub lekko jej dotykającą. Lecz czyliżby nieznalazł się inny duchowszy, że tak powiem, środek przedstawienia znamion nadziemskiego charakteru? Nie jestto zapewne tak łatwą rzeczą, gdy nawet nad głowami świętych postaci Rafaela wązkie unoszą się obrączki; ale jakkolwiek nie każdy temu zadaniu podoła, powiedzieć niemożna, aby niepodobieństwem było; a kogo bogowie szczodrzej obdarzyli, dlaczegożby o najwyższą palmę pokusić się niemiał? Chrystus Danekera zbliża się do idei. Nie ujrzysz tam żadnych osobnych znamion; świętą postać w pojedynczej postawie, pojedyncza opłynęła szata; a jednak z pierwszem już wejrzeniem nikt niewątpi, że to jest boski człowieczeństwa nauczyciel, albowiem ten wzniosły utwor wyraża łagodną ale poważną godność, a szlachetne oblicze tchnie niebiańską wyższością i miłością bożą. I otoż duchowe środki do wyrażenia charakteru świętości lub znamion duchowej w istocie człowieka przewagi, zwykle promienną obwódką oznaczanych. A jeżeli temu podoła mniej uposażona plastyka, dla czegożby niemiało podołać w wyższym nierównie stopniu malarstwo, o wiele w środki bogatsze? I czyliżto tak zupełny, tak bezwarunkowy brak na ludziach duchem bożym natchnionych, których trafnie oddane oblicze posłużyłoby na wzór nie urobionego, ale samo przez się jawiącego się duchowego blasku?

Lecz gdybyśmy nawet Gliptotekę i Pinakotekę, ogołocili ze wszystkich tamże uporządkowanych, ruchomych dzieł sztuki: zostaną one zawsze wzniosłemi świątyniami, godnemi pielgrzymki, a to nie tyle dla ich architektonicznej piękności, jak raczej dla tego, iż w tych przestrzeniach wieje duch K o r n e l i u s a, mianowicie w freskach, które według jego pomysłów, częścią przez niego samego spólnie z Zimmermanem i Schlothauerem, częścią pod ich okiem i zarządem wykonane zostały. Tak w Gliptotece sala bogów i sala trojańska, w Pinakotece galeria wzdłuż tej budowy się ciągnąca. W sali bogów: symbola wody, ognia, światła, powietrza i ziemi; poranku, południa, wieczora i nocy, tuddzież olimp i królestwa Plutona i Neptuna; w sali trojańskiej: wcielone poezie Homera; w galerii zaś: kruciaty, wyprawy Karola wielkiego, przymierze umnictwa z kościołem, apoteoza malarstwa, loże wielkich malarzów, a pośrodku nich loża Rafaela. Galeria, gdzie pęzel różnych mistrzów przez 8 lat czynny, właśnie przed narzem przybyciem wypoczął, jeszcze dla publiczności niebyła otwartą; otworzono ją dla nas, jako podróżnych i obcych. Najrozmaitsze postacie, w najróżniejszych grupach, z których każda godnąby była, aby dnie i tygodnie ku jej oglądaniu poświęcać. I coż my po dwugodzinnem pobycie mogliśmy ztąd wynieść prócz gmatwy spomnienia? Ale największem bezsprzecznie dziełem K o r n e l i u s a jest jego olbrzymie f r e s c o w kościele ś. Ludwika, w stylu bizantyńskim budowanym, mające zastępować obraz w wielkim ołtarzu s ą d o s t a t e c z n y, jego własnego pomysłu i pęzla. Pięć lat nad tem dziełem pracował. Kolosalne figury, jasne grupowanie, charaktery w oko bijące, a znawcy są tego zdania, że zwolennicy malarstwa mogą z tego arcydzieła podobnie czerpać wzory i naukę, jak z dzieł Rafała lub Michała anioła, z którymi Korneliusa na równi stawiają.

Jak tam Kornelius, tak w królewskiej budowie (pałacu) przeważają prace Schnora. Podwoje przez króla i królową zamieszkałe, pełne prostoty i szlachetności, są wraz siedzibą umnictwa, uświetnione freskami. Do pokojów króla dostarczyła przedmiotów poezia Greków: Homer, Anakreon, Heziod, Pindar, Sofokles, Teokryt i Arystofanes; do pokojów zaś królowej poeci niemieccy: Schiller, Goethe, Klopstock, Wieland, Bürger i Tiek, tudzież spiewacy zalotnej miłości: *Walter von der Vogelweide* i *Wolfram von Eschenbach* W pokojach królowej uchwyciłem bliższem obejrzeniem postać rycerza T o g g e n b u r g:

Stawia chatkę na dolinie,
U podnóża owej góry,
Gdzie, w czarnych świrków gęstwinie,
Bielą się klasztorne mury.
Tam czy wieczór, czy poranek,
Ciągle patrząc na mur święty,
Siedział samotny kochanek,
Cichą nadzieją zajęty.

Aż ujrzał lubą Malwinę,
Aż jak anioł cicha, miła,
Poglądając na dolinę,
Głowę z okna wychiliła.
I tak jednego poranka
Ujrzano siedzące ciało;
Umarłe oko kochanka
Jeszcze się w okno patrzało.

Zajął mnie równie luby obraz mojego Bürgera i jego Molli, jak się z nią pieści, owiany wonią kwitnącego głogu.

*

Wie Beeren zu Beeren an Trauben des Weins,
So reichten sich Küsse zu Küssen in eins.

W dolnej części pałacu wpółzamierzchłe postacie z Nibelungów, pełne życia, siły i działania. Budowę sal do uroczystych obchodów przeznaczonych, zdobi zewnątrz wspaniały portal i alegoryczne figury Schwanthalera, ośm cyrkułów bawarskich przedstawiające. Panuje w nich królewski i artystowski przepych, mniemałbyś czarodziejską rószczką wywołany. Nowa sala tronu, z dwunastoma kolosalnemi posągami xiążąt, z których jedynaście oglądaliśmy w sali, a dwunasty w Stieglmajera pracowni; sala habsburska przyozdobiona w eukaustyczne malowidła; sala Barbarossy, sala Karola wielkiego, sala bitw itd; co mieszczą w sobie, wskazują ich nazwy, czem zaś jest to wszystko pod względem umniczym, widzieć potrzeba. Miarę ich przepychu mogłyby poniekąd dać słowa xięcia Kewenhillera, które tenże, o jednym czasie z nami te miejsca zwidzając, w ostatniej, dla służby przeznaczonej sali, wyrzekł: »Gdybym miał choć taki salon, dawałbym w nim bale, i sądziłbym że posiadam coś osobliwego.« Spomnieć tu jeszcze należy o sali piękności, którą 26 wizerunków pięknych kobiet, przez Stielera olejno malowanych, i lady i ogrodniczki, aktorki, xiężniczki i żony lokajów, bez zazdrości w spokoju zamieszkało. Ale ten różnorodny poczet nie jest jeszcze zupełny; jeszcze jest 10 miejsc próżnych dla tych, które nastąpią!

Pod tą budową sal, znowu sale, ozdobne przedmiotami z Odyssei, według pomysłów Schwanthatera eukanstycznie wykonanemi. Eukanstyka, jeżeli nie jest czemś zupełnie nowem, jest przynajmniej czemś wznowionem, i dla tego z wielkiem zajęciem przypatrywałem się w sali Habsburgów, jak malarz Jäger przy pomocy żarzących się węgli, ostatniego obrazu dokończając, szuwar i sitowie malował. W czasie naszego pobytu z końcem września, panował w ogólności czynny ruch w tej całej budowie; naglono z wykończeniem jej do uroczystego obchodu na dzień dwunastego października.

Bo Peleja syn spaniały
Priama ślubił dziewicę.

W dawniejszej części pałacu ukazują ci siedm bogatych xiążęcych pokojów, bogatszych jak twierdzą, od pokojów Ludwika XIV; a więc może najbogatszych w świecie. Jest tu łoże, na które wraz z jego kotarą czterdziestu robotników przez siedm lat massę złota wartości 700,000 zr. wytkało. Podziwiałem ducha, który za swoje miliony nic lepszego nie umiał utworzyć jak blichtry, a te bogate pokoje wydały mi się w porównaniu z nowym królewskim pałacem, jak materialne użycie w porównaniu z duchowem.

Do budowy sal przypierają arkady z pierwiastkami fresków, które niezbyt ponętnie w oko wpadają. Są tu poczęści wyobrażone szczegóły z dziejów bawarskich, częścią widoki włoskie Rottmana, z których pamięć moja jezioro d'Averno, Scyllę i Charybdis i skały Cyklopów zachowała. Z pomiędzy tych obrazów wyglądają ciekawie kiełbasy i sery, damskie kapelusze i boa, szkło i porcelana, wszystko tak naturalnie, iż tylko ręką potrzebujesz sięgnąć. I one też są zupełnie naturalne, bo się znajdują w sklepach pod arkadami w ogród wchodzących, jak gdyby umyślnie przeznączone psuć w najpocieszniejszy sposób wrażenie, jakie sprawia oglądanie owych dzieł sztuki i czytanie wybornych godeł i przypowieści pod niemi umieszczonych.

W kościołku **wszystkich świętych**, przez Klencego budowanym, pełnym przepychu i smaku, widzisz znowu freska, wszystkie na tle złotem; pomysł i wykonanie Henryka Hessa, przedmioty starego i nowego zakonu. Podobnież i w Bazylice przez Zieblanda wzniesionej, zajmują cię freska z legend niemieckich wzięte, i już tylko złotego tła oczekujące. Kościoł ten ś. Bonifacemu poświęcony, na pięć naw podzielony, spoczywa okazale na 64 marmurowych słupach. I jeszcze znowu wielkie fresko na gärtnerowskiej bramie Izary (*Isarthor*); wjazd cesarza Ludwika bawarskiego po bitwie pod Ampfingen, przez Nehera z Biberach. W jednym tylko, ale nader milutkim kościele na przedmieściu Au nie ujrzysz fresków. Ludwik zwidzając pierwszy raz jako król Ratysbonę, kazał co rychlej z tamtejszego tumu, starożytnością swoją spaniałego, pozdejmować wszystkie freska i wszelkie ozdoby, a nawet ołtarze przy filarach umieszczone, jako z gotycką budową niezgodne; cóż więc dziwnego, że niezezwolił na żadne tego rodzaju przyozdobienia przy tej swojej w najczystszym gotyckim stylu wzniesionej budowie. I ztądto wnętrze kościoła w Au jest tak pełne harmonii i prostoty, ztądto błogie wrażenie, jakie czyni na widzu całość tej świątyni, wrażenie podobne temu, jakie przed kilkoma laty zrobił na mnie Palladia *San Salvadore* w Wenecii. Ale i kościoł w Au niezostawiła sztuka malarska bez wszelkiej ozdoby; owe czternaście kolosalnych okien, przedstawiających szczegóły starego zakonu i święte legendy, a tak mile, tak magicznie, oświetlających całą przestrzeń świątyni, mają być wysokiej wartości umniczej.

W ogólności powiedzieć można, że budownictwo, malarstwo i rzeźbiarstwo, podają sobie w Mnichowie

*

braterskо ręce, ażeby duchowi ludzkiemu być nauką, serce zaś radować i wznosić.

Nieuszedł uwagi naszej i ów spiżowy, złocony, 100 stóp wysoki obelisk, poświęcony pamięci Bawarczyków w Rossii poległych; tudzież posąg króla Maxymiliana, podług modelu Raucha, przez Stieglmajera lany i złocony. Zwidziliśmy jeszcze wnętrze nader lubego pałacu xięcia Maxymiliana, tudzież bibliotekę i nowy protestancki kościół, zkąd najcałkowitszy widok Mnichowa i jego okolic. Oglądaliśmy z prawdziwą roskoszą galerię leuchtenberską, nie tak liczbą, jak doborem dzieł znakomitą. Tu zajęły nas Kanowy gracie i Chaudet'a sielankowy, wytwornej roboty Cyparyssus, z swojem zabitem koźlątkiem. Niepominie tu zapewne żaden z ziomków moich obrazu, którego przedmiotem jest szlachetny, poczciwy jenerał Klicki, napadnięty przez kozaków; widzi to wicekról włoski, przypada z adjutantem swoim, rozprasza kozactwo, i oswobadza mężnego jenerała. Obraz ten pęzla Heideggera, znanego przyjaciela Hellenów, z wielkiem zadowoleniem ukazuje obcym kustosz galerii.

W skarbnicy zajęła mnie nadewszystko korona Karola wielkiego, kawał dziejów świata ręką ująć się dający! Zwidziliśmy prócz tego pracownię Schwantalera, Stieglmajera i Kaulbacha. O, ten Kaulbach, z swoją szlachetną, prawdziwie artystowską, powierzchownością nie wyjdzie mi nigdy z pamięci! Właśnie świeżo ukończony i już w ramy ujęty, stał w przybocznym gabinecie jego Anakreon i Zea, tak uroczy, tak prawdziwy, tak pełny i jasny utwor, a tak wydatny, iż jedna noga Zei, raczej plastyki jak malarstwa wydaje się dziełem. Sam mistrz pracował właśnie nad swoim wielkim obrazem: Zburzenie Jerozolimy, którego kartony widzieć nam się dały; stał w zupełnem zajęciu na rusztowaniu przed olbrzymiem płótnem, na którem już zarysy całej kompozycii widocznemi były, a tuowdzie wpółwykończona, pełna wyrazu wyglądała głowa.

Niezaniedbałem ja także nigdzie zwidzenia cmentarzów, około których Niemcy tyle tkliwego starania, tyle troskliwości łożą; tak w Mnichowie, gdzie Frauenhöfer i Utzschneider, mężowie zarówno z Herschlem europejskiej sławy, tak w Berlinie, gdzie Schleiermacher i Hegel, tak wreszcie w Dreznie, gdzie spiewak Uranii i Eliza *von der Recke* pod jednym spoczywają grobowcem. I groby są wymowne! Tego co one uczą, żadna nienauczy filozofia.

Odwidzinami cmentarza, gdzie właśnie nadworny aktor Mays, w kaplicy, pośród kwiatów i jarzęcego światła ostatniej czekał posługi, zakończyły się nasze po Mnichowie objażdżki. Nazajutrz posunęliśmy rano koleją żelazną do Augsburga, 17 mil odległego. Zwidziwszy tu, jakkolwiek pospiesznie, wszystko co było godniejszem widzenia, między innemi sławny wodociąg, po całem prawie mieście wodę rozprowadzający, tudzież parową drukarnię Kotty, gdzie właśnie kilku dziesięcioletnich chłopczyków 10000 exemplarzów gazety powszechnej w pięciu godzinach wygotowało; zwidziwszy mówię wszystko, bo nawet i okolice Augsburga; jeszcze tego samego dnia byliśmy z powrotem w Mnichowie, i dosyć w czas, aby w pięknym nadwornym teatrze być jeszcze obecnymi przedstawieniu Katarzyny Cornaro. Przy całej okazałości wystawy, spiew lepszy niebyłby wcale tej operze zaszkodził. Po oddaleniu się pani Hasselt-Barth, Mnichów samych już tylko niższego rzędu spiewaków posiada. Ja, przy wiadomym ci moim talencie muzycznym, nie roszczę sobie prawa do ocenienia muzyki, zwłaszcza pierwszy raz słyszanej; ale text wydał mi się nudny, nienaturalny i wcale uwagi niezajmujący, i wieczna byłaby szkoda, gdyby Lachner na taką ramotę, dobrą muzykę zmarnował. Mój Guścio musiał być podobnego zdania, gdyż w ciągu przedstawienia smacznie się na swojem krzesełku wysypiał.

Otoż masz, kochany przyjacielu! niemal wszystek plon, jaki w pospiechu w Mnichowie zebrałem. To, i innych jeszcze rzeczy wiele powstało tu, staranością króla Ludwika, w przeciągu jego siedmnastoletniego panowania. Ma on jeszcze i dalsze zamysły, z których najbliższym dokonania jest świątynia zwycięstwa. Ma ona być wzniesioną w pobliżu Mnichowa, na tak zwanej łące Teresy (*Teresienwiese*); miejsce jest już wytknięte i splantowane, a przed nią ma przyjść 54 stóp wysoka Bawaria z kolosalnym lwem u stóp, na podstawie 36 stóp wysokiej. W całej jej wielkości widzieliśmy ją w modelu Schwanthalera. Pomimo ogromnych rozmiarów, głowa tego kolosu pełna jest życia, źle mówię, nie życia ale wyrazu, bo życie w jednym tylko widziałem kamieniu; cała postać pełna harmonii i piękności. Stieglmajer ma ją lać z tureckich dział, które z morza pod Nawarynem dobywa towarzystwo, umyślnie ku temu celowi zawiązane, a król zakupuje. Mnóstwo tych dział, obległo już gipsową Bawarię; alebo też do jej ulania potrzeba 1200 cetnarów spiżu. Pięć do sześciu lat jeszcze upłynie, zanim Bawaria ulaną i dzieło całe ukończone zostanie.

Po niewielkim, ale wiele do widzenia nastręczającym Mnichowie, kręcąc się po całych dniach, jak szare gęsi, byliśmy też, jak szare gęsi znani, i doznawaliśmy wszędzie tak uprzejmej, tak uprzedzają-

cej życzliwości, jakiej tylko podróżny w obcej ziemi życzyć sobie może. W dzień wyjazdu naszego byłem witany na ulicy nawet, od osób, o których anim mógł sobie przypomnieć, gdziem je widział, gdzie z nimi mówiłem, a po oświadczeniu naszego odjazdu, tak serdeczne odbieraliśmy pożegnanie, jak gdyby naszymi od dawna byli przyjaciołmi. To ujmuje, chwyta za serce i cieszy człowieka. Takie ocenienie i pojmowanie społecznego życia, tak życzliwy i gościnny sposób myślenia, położyłbym na karb tego estetycznego wychowania, o którem poprzednio spomniałem. Opuszczaliśmy polubiony Mnichów z uczuciem, z jakiem się opuszcza domową strzechę, lub miejsca nawyknieniem miłe.

Dokończenie nastąpi.

Jerozolima.

Na wzgórach fioletu, na azijskiej ziemi
Stoją mury czarowne, a bóg mieszka z niemi.
To miasto Chrystusowe: cudów jego ślady,
Tu znajdujem, i męki ściga nas cień blady.
Wpośród gór i pałaców kościół Salomona,
Na równinie wybujał, wyciąga ramiona
Ku narodom, by miały Jezusa znamiona.
Na dole bezbożnego Piłata mieszkanie:
To stwórcy wyrok, który na grzechu skaranie
Rozkazał aby postać ohrzydłego gadu
Wpełzła się do wonności edeńskiego sadu.
I znowu ku północy wielki Sion wstaje,
Żadnemu niedowiarstwu przystępu nie daje;
Ledwo światło Mojżesza czasem tam zabłyśnie,
Z duszy żałość, a z oka łzę świętą wyciśnie.
I czemużto te mury w niewiernych są rękach?
Daremnie Chrystus skonał na ich krzyżu w mękach.
Cała Jerozolima w mocy Muzułmana! ....
Lecz kiedyś zagrzmi piorun, obali bałwana,
I padną na twarz ludy; syn boży z grobowca
Po raz ostatni wstanie, i ziemi wędrowca
Powoła raz ostatni ku niebios krainie.
Przybytek Piotra błyśnie; minaret przeminie!

Józefa Rapelewska.

NOWE DRAMATA
na teatrze lwowskim.

Niebawem miłośnicy sceny polskiej zostaną wielce uradowani i poniekąd wynagrodzeni za to, jeżeli w ciągu całorocznych przedstawień niekiedy sztuki miernej lub też nijakiej wartości widzić się im zdarzało. Nowe dramata pisarzów bądź znanych, bądź wstępujących z chlubą w ten zawód są już rozpisane lub rozpisują się w celu przedstawienia ich, tych jeszcze kontraktów. Mimo przygan jakie niekiedy słyszeć się dają; zawszeto lwowska widownia była bodźcem rozwijających się talentów, a od dawnego już czasu sama jedna niemal przypomina narodowi, że ma znakomitych dramatycznych pisarzów i artystów. Śmiało tem może się dziś pochlubić, i mogłoby to służyć za dowód rozsądnego i umiarkowanego postępowania władz miejscowych. Słyszeliśmy wiele o zaletach tragedii Staś napisanej przez młodego i znanego pisarza, który świeżo na pole dramatu się rzucił; a wysokiej wartości pracę najnowszą Józefa Korzeniowskiego, odczytaliśmy właśnie z wielką roskoszą. Jestto komedia, a raczej dramat czteroaktowy pod napisem Żydzi. Autor przedstawił w nim obraz z domowego życia z taką prawdą i interesem, iż zdaje się, że jesteśmy świadkami rzeczywistych zdarzeń. A jednak jestto tylko obraz umniczy i jak wszystko w świecie ma jakieś podobieństwo wzajemne, tak i tu tylko trafność kolorytu przywołuje w pamięć niektóre rzeczywiste zdarzenia. Do tych którzy, jakto się nieraz dzieje, w wizerunkach ogólnych zwykli upatrywać satyrę na siebie, przemawia autor następującym textem, który za godło swego dramatu położył. »Kiedy w stół uderzają, nie bierz siebie za nożyce, i nie odzywaj się.« Może nie zawadzi uprzedzić, że w tej sztuce głównemi osobami nie są żydzi, chociaż mimoto napis jest odpowiedni zupełnie. Ale idzie tu o to, co trąci żydostwem, jeśli przez ten ostatni wyraz zbiór wad pewnego rodzaju rozumieć będziem, sami bowiem żydzi lub osoby z dalszej genalogii tylko do nich się odnoszące, które w tym dramacie przychodzą, odmalowane są z taką względnością jaka się każdemu człowiekowi bez względu na rodowość jego należy. Ale największą zaletą tej sztuki jest jasny, praktyczny pogląd na te kółka towarzyskie, z których się wiąże społeczeństwo, i wzajemny ich do siebie stosunek; tem ona zdaje się nam górować nad wielą tworami tego rodzaju, gdyż cel jej we względzie moralnym jest wielki i dobrze ugodzony. Autor dowiódł już w dawnych swoich tworach, ile rozwaga dokładna kieruje jego pracami. W dramatach jest ona wielkiego nader znaczenia; jeśli gdzie to w nich samo natchienie pokazuje się niedostateczne najwidoczniej. Ileżto mamy dramatów, które właściwie są tylko poematami, a jakże często spaczony w nich zamiar pierwotny; ile znowu poematów w których przez brak uprzedniego zastanowienia się zmarnowano natchnienie. Pod tym tedy względem komedia, o której mówimy, należyć będzie do tych, które się autorowi najwięcej powiodły, jest bowiem wielce zaokrąglona w całości, a przy tem wszystkiem w częściach jej wszędy widać życie i prawdziwe natchnienie.

Z niecierpliwością oczekujemy chwili w której obaczym ją na widowni, wtedy umieścimy jej treść i rozbiór, a teraz kończymy przytoczeniem z niej dwoch scen z aktu trzeciego, które jako ustęp potrafią sprawić czytelnikom naszym prawdziwą przyjemność, przypominając im ów piękny, naturalny wykład rzeczy, jakim odznaczają się sztuki Korzeniowskiego.

L.D-B

ŻYDZI.

Komedia w czterech aktach, Józefa Korzeniowskiego.

Aktu trzeciego, scena siódma.

(Xięgarnia, pułki jeszcze puste, wchodzi xięgarz Goldberg, za nim jego pomocnik.)

GOLDBERG.

A, żeby cię pan bóg skarał, coś mi narobił.

POMOCNIK.

Ale cożem ja temu winien?

GOLDBERG.

Jarmark się zaczyna; a nasze pułki puste. Na tysiąc rubli srebrnych będę miał straty, czego z początku nie kupią póki

mają pieniądze, to potym nie będzie kupione. Ten się zgra; tego kredytor przyciśnie; tamten wina nakupi; tamten się do jakiej szkapy zapali; tamtemu żona wszystkie pieniądze u Szafnagla posadzi; a na xiążki nie stanie. A wszystkiemuś wasan winien, żeś się guzdrał z upakowaniem. No, idźże wasan zobacz czy nie jadą.

(Pomocnik wychodzi, wchodzi Antoni Staroświęcki.)

S c e n a ó s m a.

ANTONI STAROŚWIĘCKI.

Czy pan jesteś pan Goldberg?

GOLDBERG.

Do usług. Ale pan widzisz, że pułki moje jeszcze nie zapełnione; za godzinę spodziewam się transportu. Proszę pana jutro.

ANT. STAROŚWIĘCKI.

Ja mam interes do pana Goldberga. Oto jest rękopism, który chciałbym wydrukować. Poemat, kilka powieści i parę rospraw literackich.

GOLDBERG.

(Zajękując się w pierwszej frazie.) Możemy wydrukować. Pokaż pan. Będzie arkuszy ośm drukowanych. Ale niema nazwiska na tytule.

ANT. STAROŚWIĘCKI.

Chcę aby to wyszło bezimiennie. Gdybym się znajdował w innem położeniu; prosiłbym tylko pana aby edycia była poprawna, i nic więcej. Ale nieszczęściem potrzebuję wzmiankę zrobić i o kondyciach. Co mi pan dasz za ten rękopism?

GOLDBERG.

(Zajękując się) Panie dobrodzieju! to delikatna materia.

MŁODY CZŁOWIEK *(we drzwiach.)*

Witolorauda Kraszewskiego jest?

GOLDBERG.

Jutro proszę pana. *(kupujący odchodzi)* Widzisz pan, trzeba mieć imię. Ja kupiec, łożę kapitał, a ja pana nieznam.

ANT. STAROŚWIĘCKI.

Nic słuszniejszego. Ale daj pan komu przeczytać, co się zna na tem i komu ufasz.

GOLDBERG.

Ja niemam czasu tem się zajmować. My płacimy imiona gotowe; koszta druku wielkie, nasz handel bardzo śliski.

DAMA *(we drzwiach.)*

Literatura i krytyka jest?

GOLDBERG.

Jutro proszę pani, jeszcze nie rospakowana. *(dama odchodzi.)* Widzi pan dobrodziej, jakieto dzieła pokupne. Może i to dobre coś pan napisał; ale nakład to ryzyko.

ANT. STAROŚWIĘCKI.

Więc niema nadziei? *(do siebie)* Myślałem że choć tysiącem złotych ojcu pomogę.

GOLDBERG.

Ja nie mówię żeby tego nie drukować. Owszem, dam druk piękny, papier welinowy, okładki żółte z gockiemi ozdobami i nie drogo, niech pan wierzy.

PAN Z GWIAZDĄ *(we drzwiach.)*

Mieszaniny obyczajowe są?

GOLDBERG.

Są jw. panie ale proszę jutro, jeszcze nie rozpakowane. *(pan odchodzi)* Słyszysz pan, o kogo tu pytają? Otoż to mi jest towar. Ja wiem co kupić. Innego autora i chwalą, a ja go niewydrukuję swoim kosztem. Bo często pochwały są na nas xięgarzy samołówki. Ale ja panie dobrodzieju doświadczony flut, ja na nic nie wlecę.

PANIENKA *(we drzwiach.)*

Pielgrzymka do ziemi świętej, jest?

GOLDBERG.

Jest panieneczko! ale proszę jutro *(panienka odchodzi)*. Widzisz pan sam czego potrzeba.

ANT. STAROŚWIĘCKI.

(Z westchnieniem) Szczęśliwi! O zazdrościłbym im tej czci ziomków, gdyby mniej na nią zasługiwali *(pociera ręką po czole)*. Ha! może też i ja kiedy — droga otwarta — przykład jest i sił wystarczy.

GOLDBERG.

Otoż to pięknie, że pan masz takie przedsięwzięcie. Będziemy drukować. A już jak ja pana poproszę: daj mi pan rękopism, możesz pan być pewnym żeś wart czytania. Bo ja panie dobrodzieju jestem ciepłomierz, na który młody zwłaszcza autor patrzeć powinien, i ja pana lepiej poprowadzę niż ci przyjaciele co proszeni i nieproszeni występują z radami. I ażeby pana przekonać, że ja już przeczuwam w panu dobry towar, to rękopism wezmę.

ANT. STAROŚWIĘCKI.

Dziękuję ci panie Goldberg. Poźniej co innego dam ci darmo, a teraz bóg mi świadkiem nie dla siebie potrzebuję tysiąc złotych.

GOLDBERG.

(Zajękując się) Panie dobrodzieju! to delikatna materiá. Ja mówię, iż rękopism wezmę na własność. Panu dobr. dam 20 exemplarzy na welinowym papierze, ale pan dobr. dopłacisz mi 200 karbowanych.

ANT. STAROŚWIĘCKI.

(Odbierając rękopism) Wolę drukować swoim kosztem.

GOLDBERG

Wielka różnica panie dobrodzieju. Będą leżeć, i nikt nie napisze o tem ani słowa. Ale wiesz pan co? ja widzę co z pana być może, i dla tego proszę posłuchać mojej rady. Oto ukłoń się pan i poproś którego ze znakomitych estetyków, niech rękopism przejrzy, i jeżeli będzie na pana łaskaw, napisze o tem naprzód jaki monumentalny artykuł. Artykuł się wydrukuje, oczekiwanie się obudzi, a wtenczas pomówimy o kondyciach.

ANT. STAROŚWIĘCKI.

Nie! panie Goldberg. Szczęśliwy byłbym gdyby moje dzieło po wydrukowaniu zasłużyło na poważny rozbiór którego z tych znakomitych pisarzy. Ukłonię się im chętnie, gdy się z którym z nich spotkam. Ale mój pokłon będzie bezinteresownym hołdem ich wyższości; a nie żebraniną. Jałmużny nie lubię i nie przyjmę.

GOLDBERG.

Toż i ja inaczej nie mogę. Bo jakże pan chcesz abym łożył koszt na tak zawziętego anonima. Gdyby tu przynajmniej na tytule było: przez hrabiego takiego to, — lub przez xiążęcia takiego to... lub gdybyś się pan przynajmniej rodził z matki pochodzącej z rodów historycznych, i gdyby to można wetknąć gdzie choć w przedmowę lub w dedykacią jakiej babcę lub ciotcę.... w tenczas chętniejbym zaryzykował, bo to widzi pan działa na publiczność i na krytykę.

ANT. STAROŚWIĘCKI.

Co też pan wygadujesz panie Goldberg?

GOLDBERG.

Rzeczy jasne jak słońce, panie dobrodzieju! Jeżeli jedynie potomkowie rodów historycznych, mogą mieć piękne rysy; za tem idzie koniecznie, że tylko potomkowie tychże rodów mogą mieć piękne talenta. Ani jednego ani drugiego oczekiwać nie można od zaimprowizowanych dziedziców podejrzanego szlachectwa.

ANT. STAROŚWIĘCKI.

Brednie panie Goldberg! wierutne brednie! Nikogo to bardziej nie raduje jak mnie, że dziś u nas ludzie znakomitych rodzin biorą się tak szczerze do nauki i do pióra; ale żeby mieli przywilej na geniusz tak jak mają na inne rzeczy, to nie prawda panie Goldberg. Zgadzam się, że im wszystko łatwiej przychodzi jak nam biedakom. Tyleż starań, tyle kosztów łoży się na ich wychowanie: mają wszystkie środki pod ręką, mogą podróżować i poznawać świat i ludzi ze świata a nie z martwej litery, wszystko co wychodzi nowego mają za co kupić i mają czas przeczytać, bo cały ten czas jest ich własnością, bo żaden obowiązek nie mąci im pokoju, nie wykrada chwil często najprzyjaźniejszych; bo żadna myśl przykra o przyszłości nie siedzi jak gwoźdź w ich głowie. Cóż dziwnego że się oświeca ich rozum, bogacą wiadomości, rozwija talent jeśli jest. Cóż dziwnego, że jeśli się jen talent objawi, łatwo i prędko zyskuje wziętość, gdy do imienia już zrobionego przydaje nową ozdobę, gdy łuna świetnej przeszłości uderza oczy krytyki, a często i samę publiczność oślepia." A my panie Goldberg chodzimy do szkół bez butów, walczymy z głodem i zimnem żeby tylko je skończyć; dzień cały uczymy żaków deklinacii i konjugacii, a noc całą przy łojowej świeczce uczymy się sami. Gdy opuścimy mury szkolne, gdy się obejrzymy po szerokim świecie, postrzegamy wtenczas że nam niema się gdzie podzieć, i na nową wstępujemy walkę z niedostatkiem, z upokorzeniem, z srogością losu i z egoizmem ludzi. Bez xiążek, bez zasobu, przykuci nieraz w jakim ciemnym kącie, niewolnicy ladajakiego obowiązku, kaprysu i pychy jakiego głupca, dobijamy się wiadomości i gromadzimy z mozołem ziarnko do ziarnka. Jakiejżeto potrzeba wiary w siebie, aby nie zmarniał talent jeżeli jest? Jakiego hartu duszy aby natchnienie nieostygło w zimnej izbie i zapał nie wywiał sie przez szpary dziurawego surduta. Długą pracą, bezsennemi nocami, bolesnem tarciem się z szorstkim światem, wydobywa się z motłochu gminne imię, wyrabia się z niczego, i ledwie pod koniec mozolnej drogi przychodzi na ten punkt, gdzie imie wielkiego pana postawiono już wtenczas, gdy był ledwie zawinięty w pieluszki. — Bądź pan zdrów panie Goldberg! niech ci bóg wybaczy żeś mi rozwiał piękne mary i zniszczył złote nadzieje! (*wychodzi.*)

GOLDBERG.

Będzie z niego dobry towar, ja to już czuję, bom ja ciepłomierz.

POMOCNIK (*wbiega.*)

Transport!

GOLDBERG.

No, chwała bogu! (*wychodzą.*)

Zapytanie.

Prowadząc przez czas niejaki krytykę teatru polskiego w gazecie lwowskiej; ile razy przyszło mi mówić o dyrekcii teatru, rozumiałem pod tą nazwą ustanowienie się członków teatru polskiego w komitet zarządzający sceną. Odkąd zaś scenę przeniesiono do nowego gmachu, wiedząc że właściciel nowego teatru wspólne przez samychże członków sceny sprawowane zarządztwo usunął, a szanownego i zasłużonego J. N. Kamińskiego ustanowił, i posadę naczelnictwa, i zarząd teatru polskiego jemu oddał, mówiąc o dyrekcii teatru, stosowałem to wprost do pana Kamińskiego. Nie mało mię więc zdziwiło gdy w gazecie lwowskiej z dnia 27 maja wyczytałem, iż panu Kamińskiemu do pomocy w reżyserstwie, dodano p. Dawisona, z podpisem: od dyrekcii teatru polskiego. Któż składa te dyrekcię? Co pod tym sfinxem rozumieć? Wprawdzie w kartkach teatralnych stoi zawsze: teatr hr. Skarbka, co znaczy, że hr. Skarbek jest właścicielem gmachu i przywileju; wszakże na dawniejszych kartkach stało: teatr miejski; a nikt przecie ztąd niewnioskował, iż miasto Lwów jest dyrektorem, tylko że gmach teatralny i przywilej jest własnością miasta. I z tej więc strony rzeczy tej niepodobna zrozumieć.

Sąd i czuwanie nad rozwijaniem się sztuki należy do publiczności, osobliwie tyczy się to teatru który bezpośrednio ku zaspokojeniu potrzeb duchowych każdego widza istnieje. Na utrzymanie sceny dobrowolną płacą, składa się cała publiczność. Ma przeto też nie tylko prawo, ale i obowiązek wejrzeć w stan sceny, w jej wewnętrzny zarząd, a nawet odpowiedzialni są jej wszyscy, którzy mając sobie powierzony zarząd teatru; sztukę wiodą do upadku, a artystów do demoralizacii. Spodziewam się, iż nikt mi za złe nie weźmie, gdy się zapytam, kto stanowi dyrekcią, jacy członkowie w jej skład wchodzą, nim skreślę w tem piśmie stan obecny teatru polskiego, i pod sąd publiczny podam tę sprawę. Jeszcze jedno zapytanie wzięte z owego zagadkowego oświadczenia dyrekcii teatru: w czem do pomocy panu Kamińskiemu dodany jest pan Dawison? Myśleć inaczej nie mogę, jak że pan Kamiński jest umiejętnym zarządcą sceny polskiej; długoletnie doświadczenie, znakomite zasługi w literaturze są nam rękojmią, że pan Kamiński i najzdolniejszy i najgodniejszy jest tej posady. Jeżeliby zaś potrzeba mu było kogoś do pomocy, toć myślę, iż każdy wraz zemną rzecz tę, wten sposób rozstrzygnie: że z artystów sceny polskiej powinien być na ten cel wybrany najgodniejszy i najzasłużeńszy, posiadający zaufanie i szacunek publiczny. Dlaczegoż więc dyrekcya, początkowego na scenie, który w życiu społeczeńskiem nie zajął jeszcze żadnego stanowiska, ani przy scenie tutejszej żadnych zasług nie położył, ani żadnych dowodów nie dał, że rozumie sztukę, a z wszystkich członków jest najmłodszym; dlaczego takiego przeniosła nad tylu mężów wyższych doświadczeniem, nauką, talentem, zasługami, wiekiem i nieposzlakowanem życiem obywatelskiem?...

J. Dobrzański.

Sprostowanie. W przeszłym numerze na stronie 86, w pierwszej przedziałce należy poprawić w nadpisie Berchtesgaden zamiast Bertechsgaden; w wierszu zaś 52 zamiast i my tu, poprawić mitu.

Prenumerata na dziennik mód paryskich z pierwszego półroku, kończy się z przyszłym numerem; uwiadamia się zatem szanownych prenumerantów, życzących go trzymać i na dal, o wczesne zamówienie w redakcii lub urzędach pocztowych.

Redaktor: TOMASZ KULCZYCKI.

CZCIONKAMI PIOTRA PILLERA.